Droga do Khadżuraho była trudna.

Z różnych względów . Po pierwsze pociąg…mieliśmy najpierw w jednym spędzić noc, a potem drugim pojechać dalej. I tak bylo, ale… noc w pierwszym minęła na czuwaniu przy mlodych, doświadczających sensacji żołądkowych. I to był jakiś pogrom. Papier toaletowy i worki na śmieci naprawdę się przydały. Ranek nie przyniósł poprawy, a trzeba bylo przenieść się do innego pociągu, znaleźć miejsca w przepełnionych wagonach i przetrwać kolejnych kilka godzin. I już wydawało się, że dojeżdżamy kiedy przypadkiem jakiś sympatyczny młody Indus przerwał nasze rozmowy i wtrącił: TEN POCIĄG NIE JEDZIE DO KHADŻURAHO. To co się zdarzyło w ciagu następnej minuty trudno opisać. Nastąpiła szalona ewakuacja na peron drzwiami i oknami ruszającej maszyny. Jedni liczyli bagaże, inni sprawdzali czy wszyscy wysiedli. No i znowu trzeba bylo biegiem ruszyć do właściwego składu, żeby ostatecznie dojechać do celu.

Khadżuraho okazało się niewielkim urokliwym miasteczkiem z portem lotniczym. Zdziwieni wypytywaliśmy ile ląduje tam samolotów i usłyszeliśmy, ze trzy tygodniowo prosto z Delhi. A my zamieszkaliśmy w wiosce na obrzeżach Khadżuraho, w gościnnych „pensjonacikach” prowadzonych przez lokalsów. I dobrze nam wszystkim zrobiła ta ucieczka od zgiełku wielkich miast. Młodzi szybko zaczęli dochodzić do zdrowia i radośnie pałaszowali wyśmienite domowe dania.

Do Khadżuraho pojechaliśmy zwiedzić trzy kompkeksy światyń hinduistycznych i dżinijskich zbudowanych między X a XI wiekiem. Świątynie zyskały światową sławę dzięki erotycznym płaskorzeźbom zdobiącym ich fasady. No i młodzi z wyjątkową uwagą oglądali budowle i fotogragowali… No coż, jak to się mówi – podróże kształcą… Zwiedzanie utrudniały upał i palące słońce. Mantrą powtarzaną młodym przez nas – opiekunów jest hasło PIJCIE WODĘ, MYJCIE RĘCE, NIE ZACZEPIAJCIE, NIE DOTYKAJCIE I NIE KARMCIE ZWIERZĄT. Do znudzenia i od rana do wieczora. A i tak się zapominają.

Po powrocie ze świątyń zjedliśmy obiadokolację i mogliśmy trochę odsapnąć. Część z nas zrobiła pierwszewiększe zakupy i chwaliła się reszcie nowymi „galotami” i koszulami. Wszyscy też chyba zakasali rękawy i zrobili pranie. A następnego dnia pojechaliśmy zobaczyć położone nieopodal Khadżuraho wodospady Raneh. Niestety, pomimo pory monsunowej, deszczu tu jest jak na lekarstwo i zamiast wielkiego żywiołu zobaczyliśmy suche skały i sterty kamoli, po których przy normalnych opadach przelewają się huczące wody wezbranych rzek. Liczyliśmy też na to, że wśród drzew i w gęstych zaroślach wypatrzymy tygrysa, ale bestia jest niegłupia, unika terenów, po których łażą głośni turyści i niczego poza bawołami i jeleniowatymi nie zobaczyliśmy.

Następnego dnia z Khadżuraho pojechaliśmy autokarem do Satny, a stamtąd pociągiem do KOLKATY, by poznać miasto a przede wszystkim odbyć wolontariat w domach Matki Teresy.